

Teksty Drugie 2006, 6, s. 202-206



Późna przyjaźń. Pamięci Andrzeja Litworni (1943-2006).

Edward Balcerzan

Pożegnania

Edward BALCERZAN

Późna przyjaźń.

Pamięci Andrzeja Litworni (1943-2006)

Podobno tylko w młodości zawiązują się przyjaźnie; moja z Andrzejem Litwornią zrodziła się w czasie, gdy on miał do pięćdziesiątki jeden rok, a ja do sześćdziesiątki trzy lata. Wyrastaliśmy w różnych regionach. Byłem dzieckiem nauczycielskim; on, co uroczyście podkreślał, ilekroć upominał się o ład w moim księgozbiorniku lub w lodówce, synem farmaceutki. W maju 1961 roku Andrzej składał egzamin maturalny, ja magisterski. Moglibyśmy sobie z tego później przy kieliszku grapy skomponować mały mit, przekładając metafizykę przypadku na metafizykę przyjaźni, ale uświadomiłem sobie tę możliwość poniewczasie, słuchając mów pożegnalnych w dniu jego pogrzebu.

Spotkaliśmy się w lutym 1967 roku, w Połczynie Zdroju. Szary jak era Gomółki dom wczasowy gościł uczestników Konferencji Teoretycznoliterackiej Pomocniczych Pracowników Polonistyki, która stanowiła jeden z wielu etapów przełomu metodologicznego. Czułem się sprzymierzeńcem Nowatorów, którzy spadkobierców genetyzmu, biografizmu, psychologizmu etc. określali niepocholebnym mianem Archaistów, nie mając zresztą na myśli nikogo z obecnych na sali. A tymczasem oni byli pośród nas: nierozpoznani, milczący. Do niejawniej opozycji należał asystent z Wrocławia, Andrzej Litwornia. Wysoki, wyprostowany, siadywał jak najdalej od mównicy, na końcu długiej sali, nie reagował na nasze konferencyjne aktorstwo ani na „podniebne loty” naszych myśli. Ukończył właśnie dolnośląską polonistykę (ja zamykałem pracę nad dysertacją doktorską). Raz się przysiadłem do posępnego drągala, próbowałem żartobliwym komentarzem sprowokować go do wymiany spojrzeń porozumiewawczych, nic, bez echa, jakby odlano go w żeliwie.

Źle trafił, nie czuł się teoretykiem literatury. Pochłaniało go naładowane zagadkami, wyłaniające się z tumultów historii życie literackie dawnych wieków.

Z kolei ja lubiłem kombinacje pojęć abstrakcyjnych, co prawda tylko gdy pomagały mi opisać napięcia literackie. Zbliżenie obu stanowisk, na zdrowy rozum nieantagonistycznych, wydawało się w tym czasie niemożliwe.

Do Połczyna przyjechał z kolegą; opowiadał mi w wiele lat później, jak to w nocnych rodaków rozmowach „podsumowywali” nas bezlitośnie. Kto czcił konkret, wielbił rzeczywistość, ten mógł liczyć na ich akceptację. Nie dowierzali abstrakcjom, spekulacjom, obietnicom bez pokrycia. Ponoć ja nie byłem pozbawiony szansy ocalenia: „Balcerzan coś wie o poetach, tłumaczach, grupach... najgorsi są ci, którzy wymyślili «instrukcje obsługi», pielęgnują je, konserwują, ale do żadnego świata nie odnoszą”.

Na długo, na 27 lat, straciłem go z oczu. Zgubiłem nawet z pamięci nazwisko! W 1994 roku sławista włoski, Anton Maria Raffo, zaproponował mi wygłoszenie wykładu na temat polskiej poezji międzywojennej. Do Włoch wybrałem się z żoną autobusem, który przedzierał się z trudem przez granice celne i kwietniowe deszcze, na każdym postoju biegliśmy do telefonu, by zameldować, że spóźnienie wzrosło o kolejne pół godziny. Uspokajał nas, instruował, komunikując się jednocześnie z osobą oczekującą pod piramidą w Wiecznym Mieście, głos profesora, o którym wiedzieliśmy, że jest Polakiem i że nazywa się Andrzej Litwornia.

Od tego dnia zaufanie do jego umiejętności logistycznych stało się jednym z najtrwalszych pewników w moim systemie wartości. Anton i Jędrək chcieli, bym raz w roku pojawiał się we Włoszech, nieodmiennie w Udine, Florencji i Pizie, a jak dobrze pójdzie, to i w Genui, w Mediolanie, słowem tam, gdzie mogli liczyć na zaprzyjaźnione instytuty slawistyczne, mieli znajomych chętnych do opieki, gościnne mieszkania rodzin polskich i włoskich. Podróżnicze lęki neutralizowała świadomość, że czuwa Jędrək, który pojawi się na pewno na udińskim dworcu w środku nocy, sprawdzi kolejowe połączenia, zaopatrzy w mapy, wskaże ukryte przed tłumami turystów tanie restauracyjki, zadba o honoraria, wygospodaruje wolny czas, by oprowadzić po Wenecji, Padwie, Cividale...

Stał się naszym *n a u c z y c i e l e m* *W l o c h*. Obdarowywał swoją wiedzą, lubił dzielić się nią – rozrzutnie – przy każdej sposobności. Nie pamiętam, by jakikolwiek obiekt zabytkowy, oglądany z okien auta lub pociągu, pozostawiał bez komentarza. Jego rozległa, z książek i z autopsji pochodząca, znajomość architektury, biegłość w przenikaniu przez szyfry historii, odczytanie w żywotach świętych, rozeznanie we włoskich peregrynacjach Polaków, od Kochanowskiego i Mickiewicza po Herlinga Grudzińskiego, były materiałem barwnych opowieści. Najwspanialszy koncert erudycyjny, jakim nas obdarzył, odbył się w weneckim Pałacu Dożów (spędziliśmy tam sześć godzin). Jędrək ukazał nam – zapisany w organizacji przestrzeni i w alegorycznych malowidłach – kodeks przesłań etycznych, przykazań, ostrzeżeń, które dyscyplinowały dawno temu możliwych tego miasta. Ale Wenecję znał i studiował wielokrotnie wcześniej. On umiał wejść do pierwszej z brzegu budowli, w której nigdy przedtem nie był, i rozpocząć na ten temat wykład. Kilka lat temu, gdy z żoną Krystyną odwiedził nas w Poznaniu, zaproponowaliśmy im spacer na Ostrów Tumski. Gdy weszliśmy do Katedry, w której po-

chowani są pierwsi królowie polscy, Mieszko Pierwszy i Bolesław Chrobry, Jędrrek rozejrzał się dookoła, obiegił dostojne wnętrza, pochylił się nad paroma nagrobkami, przeczytał kilka łacińskich inskrypcji, zidentyfikował świętych na obrazach wedle ich stałych atrybutów i po poznańskiej świątyni zaczął oprowadzać nas, Poznaniaków.

Zadawałem sobie raz po raz pytanie, czym się zajmuję jako dydaktyk i badacz. W pierwszych latach naszej przyjaźni nie umiałem na to odpowiedzieć. Jego jedyna wówczas książka (rozprawa doktorska), poświęcona Sebastianowi Grabowieckiemu, mało znanemu poecie polskiego baroku, wyznaczała zakres stanowczo za wąski, jak na potrzeby zagranicznej polonistyki. A przecież on, jak większość polonistów poza krajem, musiał poruszać się swobodnie po całym materiale historycznoliterackim, montować cykle tematyczne z różnych epok, korzystając nie tylko z twórczości rodzimej (w pewnym momencie poprowadził w Udine kurs kultury czeskiej).

Im więcej brał na siebie obowiązków, także administracyjnych, tym mocniej niepokoili się jego koledzy i bliscy, kiedy – i czy – ogłosi drukiem nową książkę. Paru osobom wydawało się, że może właśnie ja umiałbym z nim w tej delikatnej kwestii porozmawiać... Zapytałem go kiedyś (jechaliśmy samochodem), co z jego nową książką. – Którą? – Z tą o włoskich podróżach wybitnych Polaków – odpowiedziałem bez namysłu. – A co, masz w głowie kilka? – Mam w głowie trzy – oświadczył. I nie przestał o nich opowiadać, zanim nie wysiedliśmy z auta.

Owe trzy książki, lęgące się „w głowie” Litworni, dojrzewające w notatkach na marginesach licznych lektur, miały opowiadać o związkach kulturalnych włosko-polskich, już to utrwalonych w polskich przekładach z Dantego, Petrarcki i Leopardiego, już to widocznych w śladach rzymskich dziejów Mickiewicza, a także w innych biografiach i peregrynacjach¹. Pytałem go o coś, co powinno być widoczne gołym okiem, skoro znajduję się w samym środku jego badań, które nie zmieniły się od półczyńskiego spotkania, nadal bowiem pociąga go c z ł o w i e k w ś w i e c i e, o tym opowiada jako przewodnik i który prowokuje do detektywistycznych ekspertyz.

Gdybym pomyślał wtedy dłużej nad reakcją Jędrka na moje pytanie, nie namawiałbym go przez tyle lat (namolnie) na pokochanie komputera, nie dziwiłbym się oporom przed rzekomo dla jego dłoni „za małą” klawiaturą laptopa, doszedłbym bowiem do wniosku, że Jędrrek tekstów nie pisze, on je mówi, a d r e s u j e d o k o g o ś (kogo zna). Pracując nad artykułami dla „Pamiętnika Literackiego”, powtarzał, że robi to dla Zofii Stefanowskiej. Eseje drukowane w poznańskim „Arkuszu” posyłał nie tyle „Arkuszowi”, ile zaprzyjaźnionej z nim

^{1/} Andrzej Litwornia *W Rzymie zwyciężonym Rzym niezwykłym. Spory o Wieczne Miasto (1575-1600)*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2003; „Dantego któż się odważy tłumaczyć?” *Studia o recepcji Dantego w Polsce*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2005; *Rzym Mickiewicza. Poeta nad Tybrem 1929-1831*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005.

równie serdecznie jak ja Bogusławie Latawiec, redaktorze tego miesięcznika, mojej żonie. Zajął się zagadkami italskich wypraw Juliana Przybosia, którym nigdy przedtem się nie interesował, ponieważ ja go poprosiłem o udział w poznańskiej sesji „Stulecie Przybosia” (zrobił to dla mnie – z przyjaźni). Nic też dziwnego, że narracje jego prac – meandryczne, dygresyjne, dowcipne – miały coś w sobie ze skazu. Podobnie przemienioną w pismo żywą mową stały się jego trzy książki (tak, jak obiecywał!). Zdążył je przed śmiercią podyktować sekretarce, zadbać o ilustracje. W październiku 2005 roku, na rzymskiej konferencji, dedykowanej śmiertelnie już wtedy choremu Litworni, niecierpliwie czekał na egzemplarze sygnałne *Rzymu Mickiewicza*; chciał porozdawać je z dedykacjami.

Na tej właśnie konferencji wygłosiłem referat *Komparatystyka według Andrzeja Litworni*. Była to próba rekonstrukcji podstaw metodologicznych jego rozpraw. A zarazem, po 39 latach od czasów Połczyna, próba pojednania mojego „strukturalizmu” z jego „genetyzmem”. Bogusława przedstawiła esej wspomnieniowy o Jędrku w „Arkuszu”. Nie mając pewności, jak zareaguje na nasze teksty, wysłaliśmy mu je wcześniej pocztą elektroniczną. Tak nam odpowiedział:

Najukochańsi,

oba teksty mnie zachwyciły, choć każdy inaczej. Tekst Bogusi to poetycka prawie fantasmagoria o dodatkowym zmyśle, jakim dysponuje w Jej przekonaniu bibliofil, to najcieplejsza rzecz, jaką o mnie kiedykolwiek chyba wypowiedziano, to sama czułość, która mnie rozczuliła. A po uczonym wywodzie Edwarda, podlanym sosem teoretycznoliterackich cytatów, czuję się jak karp w galarecie, który przeczytawszy odpowiedni ustęp w książce kucharskiej zrozumiał, jak wielka i odpowiedzialna czeka go rola na zbliżającej się wigilii. Nie, że nie ma w obu Waszych peanach drobnych literówek czy nieścisłości – oczywiście, jeżeli pozwolicie, postaram się je skorygować, skoro sokolim okiem udało mi się dostrzec. Chodzę dumny po domu i czytam, chwilami na głos.

Całuję Was serdecznie, szczerze wzruszony Jędrzek

P.S. Ukłony od równie wzruszonej Krystyny i do zobaczenia, oraz usłyszenia niebawem. Za kilka dni gościć będziemy Marinę Fabbri, u której w Rzymie się macie zatrzymać, ustalimy więc wszystkie detale i ewentualne instrukcje.

K+A

Pożegnania

Abstract

Edward BALCERZAN,
Adam Mickiewicz University (Poznań)

**Late-date friendship. (In the memory of Andrzej Litwornia,
1943–2006)**

Professor Edward Balcerzan recalls the late Andrzej Litwornia, a friend of his, who was a scholar of Polish living and lecturing in Italy, and an expert on Italian culture and literature, who has authored dissertations on Polish-Italian literary and cultural liaisons and relations.